

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

## CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie	6.
Półrocznie	3.
Kwartalnie	1.50
Miesięcznie	50

Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu

Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

## REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od  
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

Skrzynka pocztowa № 52

## CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k
W tekście (nadesłane)	1 rb
Po tekście	20 k

Numer pojedynczy 15 kop.

## Nacjonalizm.

Jakby w odpowiedzi na artykuł nasz: „Krok wstecz“ („Przeł. Wil.“ № 15), gdzie powiedziano, iż „patrijotyzm obejmuje instynkty twórcze ambicji zbiorowej, nacjonalizm — niszczytelkie; patrijotyzm podnosi własny naród, nacjonalizm — poniża inne“, wystąpiła prasa nar.-demokratyczna (mianowicie: „Przeł. Narodowy“, a za nim „Głos Warszawski“), podejmując niewdzięczne zadanie rehabilitacji nacjonalizmu.

Rzecz prosta iż cała argumentacja oparta została na sofistycznej dialektyce; co gorsze jednak — to zupełna dowolność i sztuczność definicji, wynikających z jawnie mylnych przesłanek.

„Patrijotyzm — czytamy tu — jest uczuciem zbiorowym i niczem, tylko uczuciem“... Nacjonalizm jest narodową myślą“... „Patrijotyzm bez nacjonalizmu nie zdobędzie się nigdy na prawdziwą politykę narodową“.

Gdyby twierdzenie to było słuszne, byłibyśmy w kłopotach nielada, co myśleć o całym szeregu faktów historycznych, w których najczystszej wody patrijotyzm prowadził jedynie mądrą i jedynie w danych warunkach wskazaną politykę narodową. Waszyngton nie był nacjonalistą; nawet nim być nie mógł, występując przeciw spółplemionom. Był patrijotą. I patrijotyzm ten ożywił jego politykę — rozumną i skuteczną. Cienia nacjonalizmu nie dostrzegamy również w duchu działalności znakomych polityków, co zjednoczyli i wyzwolili Włochy. Lecz poco tak daleko szukać? Przykład najlepszy dają nam dzieje Polski. Patrijotyzm ożywił wodzów Sejmu Czteroletniego, nacjonalizm — Targowiczan.

Czem się te dwa obozy różniły?

Pierwszy dążył do odrodzenia państwa drogą reform wewnątrznych; hołdował hasłom humanitarnym; chciał dźwignąć z poniżenia masy ludowe i tym sposobem przysporzyć Rzeczypospolitej nowych sił obywatelskich; potępiał egoizm kastowy, nietolerancję wyznaniową i zastarzałe przesady. Gorąca miłość ojczyzny nie zabijała jednak w ludziach tych rozumu politycznego. Dowodem — fakt, że jakkolwiek wzorowali się na zrewoltowanej Francji, ślepo za jej przykładem

nie szli: pragnęli w Polsce wzmocnić władzę królewską, ograniczyć „wolności“.

A przeciw tym patriotom ławą szli Targowiczanie, wypisujący w swych odezwach dosłownie prawie to samo, co odczytujemy dziś w prasie nacjonalistycznej. Więc gromili oni wpływy *obce*, nowinki zagraniczne, przeklinali „zgniły Zachód“, podnosili i wysławiali *swojskość* najszkodliwszych przeżytków, godzili na prawa inowierców i tropili wrogów wewnętrznych pośród zwolenników reform postępowych, zarzucając im nieprawomyślność względem tradycji narodowych.

Owoce tryumfu tego gatunku polityków, mających — zdaniem „Głosu Warsz.“ — monopol na „myśl narodową“, był — rozbiór Rzeczypospolitej. Dopomogli doń oni, inwazji podając ręce w obronie jedynie swych interesów stanowych, którym zagrażała ewolucja społeczna państwa polskiego. Taki był ich rozum polityczny.

Czyż nie więcej wykazali go szczerzy patrijoci?

Organy nar.-demokratyczne zapewniają nas, iż „zadania narodowo-polityczne, które bierze na siebie nacjonalizm, zdawna już spełniały narodowe państwa, odkąd przestały służyć interesom wyłącznie dynastycznym“. Innymi słowy: nacjonalizm ma ogniskować się w rządzie państwa narodowego.

Jest to drugi fałsz. Państwami wybitnie narodowymi są: Francja i Anglja. Mimo to, hasła nacjonalistyczne odzywają się w nich rzadko. Natomiast sztandar patrijotyzmu, przechylający się nader często w stronę postępowych ruchów socjalnych, jest w obu tych krajach wybitnie popularny.

„Nacjonalizm — czytamy dalej — jako prąd narodowo-społeczny, zjawia się wszędzie tam, gdzie interesy narodowe nie są zabezpieczone przez państwo“.

Ze zdaniem podobnem ma odwagę występować publicystyka wszechpolska w chwili, gdy istne orgje wyprawia hakatyzm pruski z jednej strony, a „czarna sotnia“ z drugiej; gdy nacjonalizm święci największe tryumfy właśnie w państwach, czyniących wszystko, by zabezpieczyć interesy narodowe Niemców i Rosjan kosztem podbitych ludów obcoplemiennych.

Z tak prowadzoną argumentacją niema dysputy, jak nie można spierać się z daltonistą, dla któ-

rego barwa czerwona może być zieloną, a żółta niebieską, zależnie od jego widzimisie.

To też pozostawmy na boku całą tę płytką frazeologję i zastanówmy się sami nad istotą nacjonalizmu, który — jak widać — jest jeszcze pojęciem niedostatecznie jasnym.

Nazwa „nacjonalizm“ — jakkolwiek stara — spopularyzowała się szeroko w całej Europie od czasu afery dreifusowskiej. Pod szyldem tym wystąpiły wówczas we Francji żywioły, pragnące skompromitować ustrój republikański i przywrócić monarchję. Winien Dreifus, czy nie winien — mniejsza z tem: szło o sposobność, o rozbudzenie nieufności do stojących u władzy liberałów i przeciw ich programowi znaleźć jakieś hasło, łatwo elektryzujące masy. Najdogodniejszym okazał się sztandar antysemityzmu. Żydzi francuscy, choć nieliczni, bogaci są i wpływowi. Jakkolwiek zasymilowani, tworzą społeczność solidarną, zachowującą wiele śladów obcości. A że episkop paryski etranżerów wogóle nie lubi, robotnik niechętny jest bogaczom, cały zaś szary ogół nieprzyjaźnie spogląda na warstwy wpływowe — antysemityzm, przy odpowiedniej agitacji oraz jakiegokolwiek skandalicznej sposobności, mógł liczyć na wzdzięczny posłuch.

Ale antysemityzm — to była tylko negacja, zaś jego aranżerem szło o akcję. Wnet też po okrzyku: „precz z żydami!“, zabrzmiał inny: „niech żyje swojszczyzna!“ A cóż to jest swojszczyzna?.. Wszystko, co tradycją uświęcone, co stare, a zatem wyglądające na bezsprzecznie własne. Tą drogą, zwolna, *via* okrzyk: „niech żyje kościół“, agitacja odważyła się wreszcie zawołać: „vivat król“.

Czy pozwoliła sobie na to za wcześnie, czy też wogóle w rachubach swych się przeliczyła — pewności dotąd nie mamy. Dość, że po wiwacie na cześć monarchy, obruszył się nagle duch republikański Francji i antysemita, przezywający się już poważnie tylko nacjonalistami, sprawę przegrali.

Francuskie pochodzenie nacjonalizmu ostatniej doby jest po części przypadkowe. Błądzi, kto mniema, jakoby ruch ten wywołany był sztucznie; posiada on bowiem podstawy naturalne zarówno w istniejącym ustroju społecznym, jak i stosunkach politycznych.

Ewolucja socjalna, przyspieszana od czasu do czasu lub raczej załamująca się na wybuchach rewolucyjnych, wprowadziła Europę na drogę demokratyzacji państw. Przed nawrotem tym służyły one interesom początkowo jedynie dynastycznym, następnie oligarchicznym; z kolei przybył jeszcze kapitalizm, którego państwo również, albo nawet głównie, broni. W każdym razie zmuszone jest ono uwzględniać interesy coraz szerszych kół ludności i liczyć się z ich wolą.

Jest to konieczność, narzucająca się poniekąd jako siła wyższa, jako produkt czynników, od woli ludzkiej niezależnych. Konieczności tej nie bez oporu ustępują żywioły, którym wypada nagle dzielić się zdobytymi prerogatywami i dopuszczać do wpływów nowe elementy społeczne. By interesy swe jako tako zabezpieczyć przed zamachami, starają się niepożądanych współników odwieść od chęci wprowadzania nowych porządków. Stąd pochodzi dążność do olśniewania intruzów urokiem przeszłości. Więc wszystko, co się tylko daje tradycją przyozdobić, a samo przez się nie staje zbyt widocznie wprost interesom tej lub owej strony, zaliczane bywa do muzeum relikwii swojskości. Tak spreprowanemi, wszystkim drogiemi pamiątkami, sugiejonuje się tłum i uwagę jego odwoźni od spraw istotnie żywotnych. Ponieważ jednak należy dać też upust niezadowoleniu sfer, których interesy jeszcze nie są uwzględniane, ale zbliżają się już do zdobycia wpływów — szuka się wrogów, niebezpiecznych przedewszystkiem dla owej wspólnej wszystkim swojskości.

Tak powstaje nacjonalizm. Z natury swej nie jest on nigdy demokratyczny: nie rozszerza dobrowolnie praw, ani wpływów szerszych kół narodu, nie uwzględnia w pełni i dobrowolnie ich interesów. Natomiast zawsze jest on *demagogiczny*, bo wyzyskuje wszystkie przesady, wszystkie popularne (a również swojskie) uprzedzenia, byle tylko energję mas zwrócić w pożądanym dlań kierunku.

Klasycznym przykładem nacjonalizmu jest hakerizm pruski. Ponieważ dynastja, agrarjusze, a w znacznej części już dziś i (ongi liberalni) kapitaliści obawiają się coraz bardziej, by masy ludowe nie zażądały dalszej demokratyzacji państwa — rozgłasza

WACŁAW GRUBIŃSKI.

## Kochankowie. 4)

HELENA (*kręci głową*). Dwadzieścia lat?.. Mówi pan rzeczy...

WIKTORA (*przebiegł dreszcz*). Mówię prawdę.

HELENA (*po chwili*). Która godzina?

WIKTOR (*sięga po zegarek*).

HELENA. Te dwa zegary stoją (*wskazuje na zegar kominkowy i wiszący*).

WIKTOR. Mój się śpieszy, (*schowwał zegarek do kieszeni i wykonywa półruchy, jakby się zbierał do wstawiania, ale ciągle siedzi*).

HELENA (*z pobłażliwym uśmiechem*). Która?

WIKTOR (*powtórnie sięga po zegarek*). Która godzina? Ach, tak! Odliczę minuty... (*mruczy pod nosem, udając że oblicza*).

HELENA. Zapada wieczór.

WIKTOR (*spojrzał w okno*). Jeszcze daleko. (*chwila*). Czas, abym... (*wstaje*).

HELENA (*wstaje również*). Bardzo mi z panem przyjemnie... Jestem trochę zmęczona.

WIKTOR. Już idę (*widać, że mu niezmiernie trudno zdobyć się na odejście*). Idę (*obejrzał się, szukając drzwi, i nie odchodzi. Złożył niepewny ukłon*). Przepraszam...

HELENA. *podaje Wiktorowi rękę, której on nie śmie pocałować*). Odwiedzi mnie pan, nieprawdaż?

WIKTOR. Owszem.

HELENA. Teraz, kiedy się już znamy. Przyjmuję we wtorki po pierwszym i po piętnastym.

WIKTOR *cofnął się dwa kroki — stanął*.

HELENA. Dowidzenia.

WIKTOR (*półukłonem*). Dowidzenia (*jeszcze nie odchodzi*). Mam wrażenie, że czegoś zapomniałem.

się, jakoby droga wszystkim niemieckość była zagrożona. Tem, czem byli chwilowo żydzi dla monarchistów francuskich, tu stają się — polacy. Oni to są niebezpieczeństwem, huzia! na nich.

W tym wypadku wszakże płacze się inny jeszcze motyw. Potęga Prus uwarunkowana jest polityką zaborczą. Ponieważ jednak w potęgę tej lud, który może lada dzień rozszerzyć swe wpływy, wcale nie jest zainteresowany — więc trzeba go odpowiednio zasugiestjonować, aby uwierzył, iż panowanie Hohenzollernów w Poznańskim jest dlań korzystne, bez względu na to, że kolonizowanie ziem polskich przychodzi mu z wielkim trudem i kosztem znacznego obniżenia kultury.

Podobnie też i nacjonalizm rosyjski, chcąc utożsamić interes obecnej formy państwowej z interesem słusznym sercu rosyjskiemu drogiej rosyjskości — szuka na wsze strony wrogów tej ostatniej i mobilizuje opinię publiczną przeciw „inorodcom“.

Charakterystycznym jest, że podczas gdy patriotyzm wskazuje zawsze wrogów rzeczywistych, bez względu na ich siłę — nacjonalizm wyszukuje stale jaknajślabszych przeciwników. Nie idzie mu bowiem o zmaganie się z jakąś rzeczywistą krzywdą, ale o sam tylko efekt łatwego zwycięstwa.

Atoli zwrócić należy uwagę na inny jeszcze rodzaj nacjonalizmu spłóczesnego. Mianowicie na nacjonalizm budzących się ludów.

Ogólna demokracyzacja stosunków wgłębia kulturę w coraz niższe warstwy społeczeństw. Szerokie masy chcą czytać, chcą się uczyć. Powstają więc literatury narzeczy chłopskich, których istnienie doniedawna zapoznawano.

Zdawałoby się, że ewolucja ta może obejść się bez walki, że nikomu nie przynosi ona szkody.

Otóż nie. Walka być musi, bo zawsze tu ktoś na razie ponosi szkodę. Budzący się do życia kulturalnego, naród, wyłaniający ze siebie własną, nową inteligencję, nagle — a w każdym razie po pewnym okresie czasu — przestaje posiłkować się inteligencją cudzą, która na danym terytorjum przywykła już pracować. Przykład mamy blisko. Na Litwie etnograficznej ksiądz polski prawie już został wyparty przez księdza litwina. To początek; boć przecież trzeba się liczyć z faktem, iż wkrótce przybywać zaczną coraz

liczniej litwini lekarze, adwokaci i t. p. — wreszcie pomnoży się liczba literatów, których twórczość wypierać zacznie wydawnictwa polskie.

A przecież siła kultury polskiej od wieków przystosowywana była i do tego — że tak powiem — rynku zbytu. Zamknięcie go grozi, chwilową conajmniej, nadprodukcją inteligencji. W czasach dzisiejszych jest to motyw walki może i ważniejszy, niż interes rozsianych obszarników.

Walka więc jest tu zjawiskiem zupełnie naturalnym. Ponieważ w jej stadjach wczesnych siła leży tylko po stronie cywilizacji starszej i używającej też jako broni właśnie swojej przewagi kulturalnej, więc zapaśnik słabszy, nie widzący dla siebie szans na tej drodze, łącno ucieka się do środków niekulturalnych i w ten sposób patryjotyzm swój przyobleka nieraz w szaty nacjonalizmu.

Co się wreszcie tyczy nacjonalizmu ludów kulturalnych, a krzywdzonych przez obcą przemoc — to łatwo przekonać się można, iż wzrost jego sił jest miarą słabości społeczeństwa. Podbity naród kulturalny ma wszelkie dane do prowadzenia polityki wyłącznie patryjotycznej — nie nacjonalistycznej. Posiada on po swej stronie słusność i zadatki siły realnej. Nacjonalizm, szukający jaknajślabszych wrogów, wskrzeszający przeżytki i posiłkujący się demagogią — jest objawem bardzo smutnym. Że po roku 63 Polska go nie znała, a reakcja objawiła się zupełnie inaczej, to dowód, że wówczas naród był jeszcze, pomimo klęsk, zdrowy.

Zaznaczyć wszelako trzeba, że i obecnie nacjonalizmu w formie zupełnie czystej Polska niema. Bronią ją przed nim ciężkie położenie, które większości nawet stronnictw — gdzieindziej wyłącznie socjalnych — narzuca uczucia patryjotyczne. Albowiem wszystkim klasom społecznym dokuczają tu w równej mierze krzywdy narodowe. Okoliczność ta sprawia, że podczas gdy wszech Niemcy np. są jedynie tylko nacjonalistami — wszech polacy mogą być i są rzeczywiście stronnictwem nacjonalistyczno-patryjotycznym.

Cokolwiek zdziałali oni dobrego (praca np. nad oświatą ludową), zawdzięczamy patryjotyzmowi Demokracji Narodowej, która też na tej drodze spotyka zawsze chętną pomoc ze strony innych żywiołów — w zasadzie jej wrogich.

HELENA *spogląda po meblach.*

WIKTOR. *Jakgdybym czegoś niedopowiedział (zmieszany). Przepraszam... (kłania się; wychodzi tyłem).*

HELENA *(miętko skinęła głową).*

*Uplywa chwila.*

HELENA *wciąż jeszcze stoi na tem samym miejscu.*

WIKTOR *łękliwie wraca.*

HELENA. Pan?

WIKTOR *(zakłopotany).* Ja tylko chciałem... Chciałem jeszcze raz... *(niemal przerażony).* Czy pani bardzo się gniewa?

HELENA *(w zdumieniu).* Ależ...

WIKTOR. Postępuję strasznie... wiem... pani powinna się na mnie rozgniewać... Nie mogłem odejść. Jakaś niewidzialna siła wzięła mnie za ramię i gwałtem zawróciła do pokoju, *(stoi bezradny).* Musiałem wrócić.

HELENA *milczy.*

WIKTOR *(nareszcie nieco lżej odetchnął i nieśmiało zaczął się uśmiechać).* Teraz odejdę... już teraz mogę...

HELENA. Pan ma łzy w oczach...

WIKTOR *(chwiejnie się uklonił).* Nie... już teraz mogę.

HELENA *(podeszła do Wiktora i wzięła go za rękę).* Co panu jest?

WIKTOR *milknie.*

HELENA *(również wzruszona, z przesliczną wymówką).* Taki duży chłopiec...

WIKTOR *wciąż niewyraźnie uśmiechnięty.*

HELENA. Nerwy?... brzydkie nerwy?

WIKTOR. Nie.

HELENA. A cóż?

WIKTOR. Musiałem wrócić.

Natomiast wszystko, co działalność Nar.-Demokracji szpeci, co jest przyczyną jej kręactwa i demagogji—stanowi płód nacjonalizmu. Gdziekolwiek partja ta ściera się wyłącznie z rzeczywistym potężnym wrogiem narodu—na Śląsku, w Ks. Poznańskim—ma ona oblicze szlachetne. Tam wszakże, gdzie przeciwników szuka jaknajślabszych (w Galicji np., a dziś już i w Królestwie), upodabnia się coraz bardziej do nacjonalistów innych krajów; schlebając przedewszystkiem instynktom zbiorowym niższego rządu, na schlebaniu tem głównie byt swój opiera i w rezultacie staje się conajmniej czynnikiem bezwartościowym: co jedną ręką daje pod wpływem patriotyzmu, to drugą odbiera z pobudek nacjonalistycznych.

Z organizacji czynnej, przedzierzga się wyłącznie w oportunistyczną; społeczeństwu nie wskazuje dróg, na jego użytek przez nią moszczonych, lecz idzie tam, kędy samopas kupa największa chadza. Tu przy pomocy rozmaitych sztuczek obejmuje komendę. Ale jest to dowódca, który wciąż się musi oglądać, czy armja jeszcze za nim kroczy; sam zaś dokąd idzie—nie wie.

Wystarcza, że udaje hetmana.

To komendjanctwo, ta zabawa w rząd jest właśnie istotą nacjonalizmu Demokr. Narodowej.

I w tem—zdaniem prasy wszechpolskiej—mieścić się ma „rozum polityczny“ nacjonalizmu.

Złudzenie!..

B. H.

## Fikcyjne równouprawnienie.

Łatwiejby z pewnością w czasach dzisiejszych przeniknąć tajemnice zakonu najsurowszej reguły, niż wdrzeć się w tajniki wewnętrznego życia większości szkół naszych. Istniejąc w społeczeństwie i dla społeczeństwa, umieją one najczęściej okryć mgłą uroczystej powagi augurów starożytnych to, co się wewnątrz murów szkolnych dzieje i niechętnie dopuszczają do swych misterjów „niepowołanego“ badacza. Za niepowołanego

zaś uznany jest każdy, ktokolwiek poznać szkół naszych „przepastne krainy“ pragnie,—nie tylko osoba postronna, ale i rodzice, których krew z krwi, kość z kości—dzieci,—wcielone są w organizm życia szkolnego i których sprawy szkolne z natury rzeczy bardziej, niż kogokolwiek obchodzić muszą.

Nawet członkowie t. zw. „komitetów rodzicielskich“ mają bardzo utrudniony dostęp do tego, co stanowi wewnętrzną istotę szkoły. To też komitety, które stwarzane były z myślą nawiązania bliższego stosunku między domem a szkołą—o ile przy pewnych szkołach jeszcze istnieją—przeistoczyły się w instytucje wyłącznie ułatwiające gromadzenie funduszków na wpisy dla uczniów niezamożnych. I przyznać trzeba, że znaczna w tem wina leży nie tylko po stronie zwierzchności szkolnej, ale i po stronie wielu rodziców, którzy funkcje członków komitetów traktowali nader opieszale nawet wówczas, kiedy „prądy“, idące z góry, pozwalały na poważniejsze ich traktowanie, kiedy stanowisko ich pozwalało im wglądać bliżej w życie szkolne i poznać je nie z zewnętrznej strony—ćwiczeń gimnastycznych, popisów uczniowskich, wieczorów literacko-muzycznych, lecz i z wewnętrznej jego istoty, z metody wychowawczej i kierunku danego zakładu, oraz z materiału statystycznego. Bo przyznać trzeba, iż warto było i warto jest pokusić się o rozejrzenie nieco bliższe w stosunkach szkół naszych, bo działy się tam i dzieją się rzeczy istotnie zdumiewające, o których mogą dać niejakię pojęcie chociażby epizody następujące.

Oto w jednym z gimnazjów rządowych pomimo, iż opłata za naukę jest w nich niższa, niż w gimn. prywatnych, stosowany widocznie był przed paru laty system ograniczający liczbę t. zw. za czasów Tołstoja i Dejanowa „dzieci kucharek“, czyli wogóle dzieci rodziców warstw uboższych, jak to dosadnie maluje autentyczny obrazek następujący—z przed lat kilku.

W rzezonym zakładzie naukowym chce ulokować synka swego pocztyljon i składa odpowiednie podanie o zezwolenie na zdawanie egzaminu wstępnego do kl. I. „Nu gdzież mu syna wycho-

HELENA. Po co?

WIKTOR. Aby panią... jeszcze, raz... zobaczyć.

*Chwila słodkiej ciszy.*

HELENA. Po co?

WIKTOR. Pani wie, że ja panią... (*lęka się dokończyć*).

HELENA (*przestaje patrzeć w rozżagwione oczy Wiktora. Wypuszcza z aksamitnych rączek drżącą dłoń młodzieńca i z wolna od niego odchodzi. Stańeta wsparta o poręcz kanapy, główkę pochylila*)... Dowiedzenia... panie de Toureille.

WIKTOR (*hamowanym głosem*). Ja panią kocham. (*Podał się ku czarującej wyciągniętem ciałem*).

HELENA. Panie de Toureille... Proszę się grzecznie ze mną pożegnać...

WIKTOR *stoi bez ruchu.*

HELENA. Niech pan będzie rozsądny.

WIKTOR. Ja zaprawdę... po raz pierwszy w życiu... ja ze wszystkich sił!

HELENA. Nie, nie, proszę przestać.

WIKTOR. Pani mi nie wierzy?!

HELENA. Z panem, jak z dzieckiem...

WIKTOR. Pani przecież wie, że ja nie kłamię.

HELENA. Gdyby nawet, gdyby!...

WIKTOR (*sostenuto*). Ja nie umiem mówić... przecież ja tak... pierwszy raz... ale ja naprawdę panią kocham!

HELENA (*miętko*). Panie de Toureille... nie trzeba.

WIKTOR. Pani wie, że ja oddawna, że ze wszystkich sił, że ja nazawszel! Ja o niczem innem nie potrafię myśleć! ja tylko o pani!...

HELENA. Ależ...

WIKTOR. To, co czuję, rozsądza mi piersi! to jest, jak wicher! nie chce się we mnie pomieścić! (*wziął Helenę za rękę, ona je cofnęła*). Pani się gniewa. Za co? za to, że kocham?

D. C. N.

wywać w gimnazjum“ — wyraża światłą opinię dyrektor i w gorliwej troskliwości o przyszłość syna pocztyljona daje instrukcję nauczycielowi egzaminatorowi do kl. I: „Iwanie Iwanowiczu (dajmy na to) proszę zwrócić na niego uwagę szczególną“ — „Słuszaj-u-s“ — służbiście odpowiada Iwan Iwanowicz, a syn pocztyljona bezpiecznie może złożyć książki i wszelkich przygotowań do egzaminu zaniechać, bo napewno do kl. I przyjęty nie będzie.

Oto epizod z innej szkoły, której sprawy interesowały mnie tembardziej, iż do niej to właśnie uczęszczali przed paru laty synowie moi. W szkole tej liczba katolików w oddziałach t. zw. głównych (osnownych) poszczególnych klas bywała z reguły znacznie mniejsza, niż w odpowiednich oddziałach równoległych. Na razie nie umiałem wyjaśnić sobie tej dysproporcji. Jak się okazało, wpisowe w oddziałach głównych było naogół niższe, niż w oddziałach równoległych; prócz tego fundacje stypendyjne stałe a pochodzące z lat dawnych, przywiązane były do oddziałów głównych przeważnie. Starano się tedy „inorodców“, którzy do katolików się zaliczali, jako element niepożądany, zepchnąć do t. zw. „paralelek“ — by w ten sposób zapewne uczniom, należącym do wyznania panującego ułatwić korzystanie ze stypendjów i niższej opłaty szkolnej.

Kilkakrotnie w b. r. szkolnym na podstawie opowiadań młodzieży stwierdzić mogłem, że inspektor, a zarazem nauczyciel języka rosyjskiego w jednej ze szkół miejscowych nie dwuznacznie daje do poznania uczniom, iż na niedostateczne stopnie z języka rosyjskiego wpływa pobieranie nauki języka polskiego w tejże szkole. Ciekawym, coby na to powiedział p. inspektor, gdyby nauczycielka, czy nauczyciel języka polskiego podobną taktykę *odradzania nauki* chcieli stosować względem języka rosyjskiego! — Pisma codzienne przed kilku miesiącami doniosły, iż zwierzchność jednej ze szkół tutejszych przestrzega, by kajety uczniowskie nie pochodziły z firm, drukujących swe nazwy nietylko w tekście rosyjskim, ale i w polskim. Objawy podobne oczywistej stronniczości lub taktyki ukłócia szpilką w naszym życiu szkolnem spotykają się na każdym kroku. — Moznaby złożyć z nich ponurą mozaikę, któraby była dokładną ilustracją, wyjaśniającą nam przyczyny braku zaufania młodzieży do szkoły, stałego zaognienia stosunków między nią a władzą szkolną, a przez młodzież także wręcz wrogiego stosunku rodziców do szkoły.

Ale obrazki te z natury swojej mają charakter anektotyczny, dorywczy i mogą uprzytomnić w sposób poglądowy atmosferę ogólną, którą młodzież nasza oddycha — przekonać nas atoli o istotnych brakach szkoły mogą dopiero cyfry.

Podaję tu właśnie nieco danych statystycznych dotyczących szkół średnich męskich m. Wilna. Pomijam tu szkoły, dostępne wyłącznie lub prawie wyłącznie dla młodzieży wyznania prawosławnego (np. Instytut nauczycielski chrześcijański) lub wyznania mojżeszowego (instytut nauczycielski żydowski, gimn. Kahana).

W statystyce poniższej uwzględniłem wyłącznie te średnie szkoły, które *teoretycznie* dla młodzieży wszelkich wyznań — prócz żydów — są dostępne w równej mierze. Cyfry atoli niebawem nas przekonają, że równouprawnienie to jest fikcją teoretyczną, o ile chodzi o szkoły średnie rządowe, będące pod kierunkiem Ministerjum Oświaty,

że obsługują one w głównej mierze jeno mniej liczną od katolickiej część ludności miejscowej — wyznania prawosławnego — z krzywdą dla ludności wyznania katolickiego.

Podana niżej statystyka „wyznaniowa“ młodzieży szkolnej, wykazuje to uposiedzenie, na jakie jest u nas narażona młodzież polska, litewska i białoruska wyznania katolickiego, a o jakim my zdajemy się nic nie wiedzieć. Ograniczenia procentowe żydów oczywiście są zdaniem naszym faktem, który musi być usunięty w drodze prawodawczej, — jednak tu kwestję tę pomijamy, ponieważ jest ona ogólnie znana, a przytem zaznaczyć tu winniśmy, iż ludność żydowska o tyle jest uprzywilejowana, że ma szkoły, wyłącznie dla siebie przeznaczone, utrzymywane bądź przez rząd bądź też przez osoby prywatne, których ludność chrześcijańska wyznania katolickiego nie posiada.

Dane statystyczne, poniżej przytoczone, zgromadzałem drogą prywatną za pośrednictwem uczniów poszczególnych klas i poszczególnych zakładów naukowych. Mogą w nich też się znaleźć pewne nieścisłości, naogół jednak, jak o tem miałem możność przekonać się niejednokrotnie przez sprawdzanie cyfr posiadanych, odzwierciedlają one istotny stan rzeczy i mają *wartość dokumentalną*.

i

A. Szkoły rządowe wileńskie znajdujące się pod zarządem Ministerjum Oświaty.

1) I Gimnazjum męskie.

	Ogół.	Katol.	Prawosł.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . .	40	4	28	
I oddział 1 . .	42	7	30	
„ 2 . .	46	11	29	
II „ 1 . .	49	5	36	
„ 2 . .	51	18	24	
III „ 1 . .	38	11	21	
„ 2 . .	38	15	20	
„ 3 . .	46	23	18	
IV „ 1 . .	42	18	18	
„ 2 . .	44	17	16	
„ 3 . .	44	19	18	
V „ 1 . .	37	11	21	
„ 2 . .	39	17	14	
VI „ 1 . .	44	15	21	
„ 2 . .	47	12	24	
VII „ 1 . .	28	9	11	
„ 2 . .	30	8	12	
VIII „ 1 . .	29	9	18	
„ 2 . .	27	14	8	
Suma . .	760	243	387	130
Procent . .		32%	50,9%	17,1%

## 2) II Gimnazjum męskie.

	Ogół.	Katol.	Prawosł.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . .	46	15	23	
I oddział 1 . .	42	14	20	
„ 2 . .	39	19	17	
II „ 1 . .	36	11	19	
„ 2 . .	35	13	13	
III „ 1 . .	43	15	20	
„ 2 . .	44	26	10	
IV „ 1 . .	37	12	19	
„ 2 . .	37	15	13	
V „ 1 . .	38	15	17	
„ 2 . .	23	13	5	
VI „ 1 . .	25	8	9	
„ 2 . .	27	11	7	
VII „ . .	34	10	11	
VIII „ . .	25	8	9	
O g ó ł . . .	531	205	212	114
Procent . . .		38,6%	40%	21,4%

## 3) Szkoła realna.

	Ogół.	Katol.	Prawosł.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . .	44	8	30	
I oddział 1 . .	41	10	18	
„ 2 . .	40	13	20	
II „ 1 . .	35	6	23	
„ 2 . .	33	8	24	
III „ 1 . .	48	16	24	
„ 2 . .	36	11	16	
IV „ 1 . .	32	12	17	
„ 2 . .	34	12	14	
V „ 1 . .	42	13	16	
„ 2 . .	26	9	17	
VI „ 1 . .	23	7	8	
„ 2 . .	25	11	10	
VII „ . .	33	7	15	
O g ó ł . . .	492	143	252	97
Procent . . .		28,8%	51,4%	19,8%

## 4) Szkoła chemiczno-techniczna.

	Ogół.	Katol.	Prawosł.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . .	54	18		
I . . .	48	16		
II . . .	35	16		
III . . .	29	7		
IV . . .	25	15		
	191	72		

Liczba uczniów wyzn. prawosł. w szkole chemiczno-technicznej nie jest mi znana, ponieważ atoli do szkoły tej trafia ograniczony procent żydów, przeto na nich i na inne wyznania potrącając — maximum 20% otrzymamy z ogólnej liczby 191: katolików 72, prawosł. 81 (?), innych wyznań 38 (?), procentowo zatem stosunek przypuszczalnie przedstawi się w szkole tej w sposób następujący: katol. 37,7%, praw. 42,3 (?), in. wyznań 20% (?).

Ogółem w 4-ch wymienionych szkołach rządowych Minister. Oświaty na ogólną liczbę młodzieży 1,974 mamy: wyzn. rz.-kat. 663 — 33,1%.  
 „ praw. 932 — 47,3%.  
 wyzn. innych 379 — 19,6%.

## B. Szkoły, będące w zawiązywaniu Ministerjum handlu i przemysłu.

## 1) Szkoła handlowa.

	Ogół.	Katol.	Prawosł.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . .	35	14	6	
„ 1 . . . . .	40	16	7	
„ II . . . . .	46	23	3	
„ III . . . . .	57	25	5	
„ IV . . . . .	53	23	9	
„ V . . . . .	45	15	3	
„ VI—A . . . .	40	19	2	
„ —B . . . . .	37	13	5	
„ VII—A . . . .	36	17	6	
„ —B . . . . .	32	16	1	
„ VIII—A . . . .	43	10	5	
„ —B . . . . .	40	15	2	
O g ó ł . . .	504	206	54	244 (w tem 238 żydów).
Procent . . .		40,9%	10,7%	48,4%

## 2) Szkoła kupiecka (przy ul. Ostrobr.).

	Ogól.	Katol.	Prawosl.	Inne wyzn.
Podwstępna . . .	49	25	2	
Wstępna . . . . .	60	34	3	
I specjalna . . .	54	22	4	
II „ . . . . .	41	20	2	
III „ . . . . .	31	16	2	
O g ó ł . . . . .	235	117	13	105
Procent . . . . .		49,9%	5,5%	44,6%

C. Szkoły prywatne średnie ze wszelkimi prawami szkół rządowych lub z t. zw. prawami „deputackimi“.

## 1) Gimnazjum Winogradowa.

	Ogól.	Katol.	Prawosl.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . . .	34	20	5	
I klasa . . . . .	41	26	8	
II „ . . . . .	41	30	3	
III „ . . . . .	40	27	6	
IV „ . . . . .	42	22	5	
V „ . . . . .	37	22	6	
VI „ . . . . .	41	20	8	
VII „ . . . . .	32	18	6	
VIII „ . . . . .	23	16	1	
O g ó ł . . . . .	331	201	48	82
Procent . . . . .		60,7%	14,5%	24,8%

## 2) Gimnazjum Katchego.

	Ogól.	Katol.	Prawosl.	Inne wyzn.
Klasa wstępna . . .	29	16	6	
I klasa . . . . .	38	21	13	
II „ . . . . .	33	21	7	
V „ . . . . .	41	27	8	
O g ó ł . . . . .	141	85	34	22
Procent . . . . .		60,3%	24,1%	15,6%

## 3) Gimnazjum Pawłowskiego.

	Ogól.	Katol.	Prawosl.	Inne wyzn.
Klasa II . . . . .	27	9	8	
„ III . . . . .	50	18	4	
„ IV . . . . .	45	16	4	
„ V . . . . .	33	6	1	
„ VI . . . . .	39	13	6	
„ VII . . . . .	24	3	2	
„ VIII . . . . .	32	1	1	
O g ó ł . . . . .	250	66	26	158 (w tej liczbie 155 żydów).
Procent . . . . .		26,4%	10,4%	63,2% (Żydów ok. 62 proc.).

## 4) Progimnazjum Kowaluka.

	Ogól.	Katol.	Prawosl.	Inne wyzn.
Podwstępna . . . . .	23	10	11	
Wstęp. oddział 1 . . .	29	12	8	
„ „ 2 . . . . .	28	13	12	
Klasa I „ 1 . . . . .	36	18	7	
„ „ 2 . . . . .	35	12	11	
„ II „ . . . . .	44	16	11	
„ III „ . . . . .	40	19	12	
„ IV „ . . . . .	44	19	13	
O g ó ł . . . . .	279	119	85	75 (w tej liczbie 65 żydów).
Procent . . . . .		42,7%	30,5%	26,8% (Żydów ok. 24 proc.).

W ten sposób w 2-ch istniejących z mieście szkołach Ministerjum handlu i przemysłu oraz w 4-ch szkołach średnich *prywatnych* należących do Ministerjum Oświaty pobiera na ogólną liczbę młodzieży 1,740, wyzn. rz.-kat. 794 — 45,6%,

„ praw. 260 — 15%,

inn. wyznań 686 — 39,4%,

przyczem liczba uczniów katolików w szkołach prywatnych, posiadających pełnię praw Ministerjum Oświaty (gimn. Winogradowa, Katchego) przenosi 60 proc.

Zachodzi teraz pytanie, czy zakłady grupy A rządowe Ministerjum Oświaty ze swoim stosunkiem młodzieży wyzn. katolickiego 33,1% i młodz. wyznania prawosławnego 47,3%, czy też zakłady B i C (min. handlu i prywatne) — ze stosunkiem 45,6% katol. i 15% prawosl. — bardziej odpowiadają faktycznemu stosunkowi liczby ludności rz.-katolickiej do prawosławnej w gub. wileńskiej i w m. Wilnie, — bo te jednostki geograficzne szkoły wileńskie przedewszystkiem obsługują, one też i winny być tu brane w rachubę.

Według danych na r. 1907 (które posiadam pod ręką) na ogólną liczbę ludności gub. wileń-

skiej 1,842,346 przypadało 467,193 prawosł., 26,295 starowierców i 1,088,030 katolików, Wilno zaś liczyło (na r. 1910) ogółem 184,532 mieszkańców, w tem 8001 prawosł. (bez wojska), 1101 starowierców i 98,765 katolików.

Już zestawienie to wykazuje jasno, że procent katolików i prawosławnych nie w szkołach grupy A, lecz właśnie B i C o wiele słuszniej uwzględnia potrzeby ludności miejscowej. Lecz może do egzaminów w szkołach rządowych Ministerjum Oświaty staje pospolicie więcej prawosławnych, niż katolików, przeto i procent uczącej się w tych szkołach młodzieży katolickiej wypada na jej niekorzyść? I tak jednak nie jest. Od paru księży prefektów, od rodziców, którzy mieli możność własnymi oczami oglądać i stwierdzić liczbę chłopców, egzaminowanych w osobnych salach z religji rz.-katol. i prawosł. wiem dowodnie, że tak nie jest, że do egzaminów naogół zgłasza się liczba katolików bynajmniej nie mniejsza od liczby prawosławnych, że stosunek procentowy dla katolików niekorzystny — jest wyłącznie dziełem i skutkiem egzaminów. Zresztą nie należałoby się dziwić nawet, gdyby rodzice wyzn. rz.-katol. — zwłaszcza z warstw bardziej uświadomionych i orientujących się w stosunkach, słysząc o gromadnym „obcinaniu się“ dzieci na egzaminach wstępnych do pewnych szkół rządowych, — nie chcieli narażać ich na to przykre przejście moralne i z góry, nie próbując „szczęścia“ gdzieindziej — oddawali do szkół, w których wszelkiego rodzaju „inorodcy“ chętniej są widziani.

\* \* \*

W ten sposób rozważania powyższe doprowadzają nas do niezbitego jak sądzę wniosku: *w szkołach średnich męskich rządowych Ministerjum Oświaty u nas stosunek procentowy uczniów-katolików do uczniów wyznania prawosławnego zgoła nie odpowiada takiemuż stosunkowi miejscowej ludności katolickiej do ludności wyznania prawosławnego; de facto istnieje tu uposzczenie liczbe najliczniejszej ludności miejscowej katolickiej, zgoła nieprzewidziane przez prawo, skutkiem czego szkoły te nie spełniają w należyty sposób swego zadania społecznego.*

Z tego wniosku wypływają, jak sądzę, dwa całkiem wyraźne wskazania praktyczne.

1-o nasze instytucje samorządowe przy staraniach o otwarcie nowych średnich zakładów naukowych, przy wyznaczaniu subsydjów, dotacji lub placów pod budowę gmachów szkolnych — winny przedewszystkiem mieć na względzie takie typy szkół, które, jak szkoły Minist. handlu i przemysłu lub prywatne więcej od szkół rządowych Min. Oświaty służą potrzebom całego ogółu i liczą się z jego opinią.

2-o. Dopływ zapisów, legatów i fundacji stypendyjnych na rzecz niezamożnej młodzieży szkolnej winien być skierowany w pierwszym rzędzie do szkół Min. handlu i przemysłu oraz prywatnych z prawami rządowymi, nietylko dlatego, że szkoły te bardziej się liczą z faktycznymi stosunkami ludnościowymi, lecz i dlatego, że wpisowe tutaj jest zazwyczaj większe, a przeto i młodzież niezamożna bardziej pomocy społecznej potrzebuje.

Mir.

## Listy z Warszawy.

Nieco kroniki. — Sezon wiosenny. — Wystawy.

Nastały pierwsze dni gorące i wszystkie bolączki ustąpiły wielkiej bolączce sezonowej, znanej każdemu, kto w Warszawie kiedykolwiek przepędził lato. Jest nią niemożliwość znalezienia miejsca ucieczki od słonecznego żaru trapiącego miasto, brak rezerwarów czystego i świeżego powietrza, duszność, pozbawiająca ludzi cierpliwości i denerwująca ich do ostatnich granic.

Gorączka budowlana, rozwinięta w ostatnich latach, ogromna, a jednak nie wystarczająca jeszcze potrzebom Warszawy, nie znalazła oporu ze strony inteligentnej municypalności i dokonała w ciągu lat dwudziestu istotnego dzieła zniszczenia. Znikły stare domy z ogrodami, które, choć zamknięte, miały poważne znaczenie dla dzielnic całych. Znikły place, jak plac Saski, pod budowę soboru prawosławnego wzięty, które były tak pożądanymi zbiornikami powietrza i oko radowały widokiem wolnej przestrzeni. Wyrosły olbrzymie kamienie, nieproporcjonalne do szerokości ulic. W ten sposób wzrastając, Warszawa nie powiększyła swego terytorjum, a stała się tylko wyższą i ciasniejszą.

Powtarzam, że wina tu leży tylko po stronie municypalności, a raczej grona urzędników magistratu, którzy żadnej inicjatywy nie udzielili dziełu dostosowywania Warszawy do potrzeb wzrastającej szybko ludności. Plan Warszawy dawnej nie był przypadkowy. Miał on swą myśl, która zatracona została wskutek fatalnej gospodarki, a raczej na skutek jej kompletnego braku. Kiedy dzisiejsze Stare Miasto (dawna Warszawa) rozłożyło się ciasnym wieńcem naokoło rynku, środek ciężkości zaczął się przenosić wzdłuż lewego brzegu Wisły, według linii obecnego Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Światu. Stały tam dwory magnackie, których rozległe ogrody i parki zajęły zbocze wzgórza warszawskiego. Tą drogą powstała potrójna oś naturalna miasta: wielka ulica, równoległa do niej linja parków i ogrodów i równoległa jeszcze rzeka piękna, szeroka i niosąca z sobą przebogate zasoby powietrza. Po obu stronach tej linii miało powstać miasto, które byłoby jednym z najpiękniejszych w Europie.

Stało się jednak inaczej. Warszawa nowa zagnieździła się gęsto po lewej stronie wskazanej linii. Większość parków zbocza zginęła pod brudną i ciasną dzielnicą fabryczną. Prawy brzeg Wisły (Praga), stanowiący oddzielną jednostkę administracyjną, poszedł swoją drogą rozwojowi. Powstał szereg dzielnic przypadkowych i nie tłumaczących się niczem. Rzecz prosta, że nie mając już naturalnej konieczności pozostawiania przestrzeni wolnych, Warszawa wyzbywała się zbiorników powietrza, gdy każdy plac zabudowywał się, skoro tylko wpadał w ręce przedsiębiorcy. Tworzenie placów, ogrodów, alei, bulwarów byłoby sztuczne i nie oparte na żadnej rozumowanej podstawie planowej. Nic więc dziwnego, że spekulacja płacowa i budowlana stała się jedyną racją praktyczną wzrostu Warszawy.

Rezultat jest ten, że Warszawa jest najmniej zdrowym miastem pod względem mieszkaniowym, a w lecie fatalne te anomalje wzrastają do stopnia, uniemożliwiającego życie w Warszawie. Lud, który w każdym wielkim mieście ma do rozporządzenia wielkie parki, zadrzewione lub tra-



wą pokryte przestrzenie, do których na cały dzień śpieszy w święta rodzinami całami, aby po trudach tygodnia wypocząć — tu pozostaje w domu, lub wypożyczenia szuka, kierując się najniższymi instynktami i przyzwyczajeniami. Burżuazja w mniej trudnym pozornie jest położeniu, bo szukać może wytchnienia w wycieczkach zamiejskich. Ale powiedziałem: pozornie, bo wycieczki takie nie istnieją, wobec przeludnienia okolic i szalonego — choć równie, jak w Warszawie, niesystematycznego i nieplanowego wzrostu przedmieść.

Nie należy się więc dziwić, że ci, którym fortuna lub obowiązek nie pozwalają wyjeżdżać na lato w góry, lasy, czy nad morze, klą los, zmuszający ich do życia w Warszawie — w dusznościach, żarze i ciasnocie.

Powstają idee odnowienia i przebudowania Warszawy, łądzą się warszawianie nadziejami, pokładanymi w bliskim (?) samorządzie. Niema jednak miejsca u nas tak daleko idący optymizm. Przyszła rada miejska więcej trosk będzie miała, niż praw i możliwości działania i więcej zadań konkretnych, niż czasu na uskutecznienie planów pięknych, ale fantastycznych, wymagających tytanicznej siły i olbrzymich środków.

Tak więc wygląda „sezon wiosenny“ w Warszawie, którego problematyczną osłoda są wyścigi, stanowiące atrakcję dla wielu przyjezdnych, a stratę czasu i pieniędzy dla mniej wybrednych stałych mieszkańców Warszawy.

Tegoroczny „sezon wiosenny“ ma zresztą wyjątkowo duże inne atrakcje natury lepszej. Są nimi dwie wystawy: sportowo-przemysłowa i wystawa miniatur.

Wystawa sportowo-przemysłowa ma między innymi tę wielką zaletę, że przypomniła Warszawie istnienie parku Agricola, jednej z uratowanych części dawnej linii parków na zboczu wzgórza warszawskiego, o której pisałem wyżej. Wystawa rozłożona luźno na obszernej przestrzeni tego parku mało zawiera dokumentów do naszego życia przemysłowego lub sportowego. Cechuje ją ta nieszczęsna przypadkowość, która jest niemal wadą narodową naszą. Nagromadzenie pewniej ilości okazów, skądinąd może ciekawych, niewiele mówi samo przez się.

Inna jest zasługa wystawy sportowo-przemysłowej. Systematycznie urządzone na niej popisy sportowe młodzieży szkolnej przyczyniają się znakomicie do rozbudzenia wśród młodych zamiłowania do ćwiczeń fizycznych. Wychowanie fizyczne młodzieży było u nas dotychczas w karygodny sposób zaniedbywane. Na tworzenie instytucji gimnastycznych władza patrzyła okiem niechętnym, szkoły mało troszczyły się o fizyczną stronę wychowania, przeczącą z natury rzeczy całemu systemowi pedagogicznemu, opracowanemu w Petersburgu. Gimnastyka wojskowa, prowadzona w szkołach średnich przez oficerów, nie właściwie wspólnego nie miała z właściwym wychowaniem fizycznym.

Rozbudzenie wśród młodzieży zamiłowania do ćwiczeń fizycznych, do szlachetnego sportu, do ambicji konkurencyjnych na punkcie siły, zręczności, sprawności i wytrzymałości może mieć doniosłe znaczenie dla przyszłości narodu. W ostatnich paru latach wiele na tej drodze uczyniono, a obecnie wystawa z jej popisami poważnym jest etapem w tej pracy.

Wspomniałem o wystawie miniatur. Niezwykle interesujące okazy z dziedziny sztuki i zdob-

nictwa przeszłości, nagromadzone umiejętnie i systematycznie zachwycają znawców i publiczność, ale nie o nich pisać tu pragnę, aby nie wkraczać w dziedzinę zbyt specjalną. Ciekawy jest dla mnie na tem miejscu przedewszystkiem lokal, w którym wystawa ta się mieści.

Lokal ten nowy dla Warszawy, jest jednocześnie najstarszym w całym mieście. W szesnastym wieku postawiony, dom bogatej rodziny mieszkańskiej Baryczków, stał się ruiną niemal, jak wszystkie osobiwe i pełne stylu budowle dawnej Warszawy. Na dom Baryczków uwagę zwróciło dzielne i sprężyste Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości. Towarzystwo nosi się z wieloma pięknymi i miłymi Warszawie projektami wydobywania skarbów dawnej sztuki, specjalnie architektury z pod pyłów lekceważenia. Pierwszem jego dziełem w powyższym kierunku było właśnie odbudowanie kamienicy Baryczków. Opierając się na dokumentach poważnych, przy dużej kompetencji i szczerym guście, sympatyczni inicjatorowie dali nam kompletną wizję starej Warszawy w tam starem domostwie. Bez sztucznego fabrykowania średniowiecza na sposób niemiecki, bez przeciążenia efektami teatralnymi, stworzyli oni siedzibę dla swych zbiorów i dla swej pracy, stanowiącą tu niezwykłą ramę dla wystaw, jak obecna.

Jeżeli odrodzenie domu Baryczków będzie zapoczątkowaniem dalszej pracy uwalniania muzealnej części naszego miasta od zaniedbania, Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości zdoła będzie wdzierać w Warszawie. A entuzjazm, z jakim Warszawa jego pracę już przyjęła, powinien być do dalszej działalności szczerą zachętą.

P. M.

## Po wyborach belgijskich.

### I.

Oddawna już zapowiadano w prasie belgijskiej, a za prasą belgijską w dziennikach Zachodu, iż wybory tegoroczne mają być decydujące w dziejach politycznych Belgji. Panowanie klerykałów, trwające już od lat dwudziestu ośmiu, od lat kilku miało się, na pozór, ku końcowi. Ostatnie częściowe wybory sprowadziły większość klerykalną Izby Deputowanych (Chambre des Représentants) do sześciu zaledwie głosów. Nie sposób opierać polityki szerokiej, poważnej i celowej na większości sześciu głosów. Nie sposób rządzić wbrew mniejszości, która jest słabsza od większości zaledwie o parę głosów, to znaczy jest taką samą „większością“ w Izbie, a będąc opozycją, w stanie defensywy, mając za sobą zwarte i odważne bataljony robotnicze, reprezentując przyszłość kraju, jego tendencje rozwojowe, oskrzydłone marzeniem i tęsknotą, popychane naprzód niezadowolaniem, nędzą, uczuciem zemsty — reprezentuje w perspektywie zbiorowości belgijskiej większość znacznie liczniejszą i decydującą. To też od lat kilku mówiono głośno o zmianie zasadniczej rządu, o powrocie do władzy liberalów, tym razem w towarzystwie socjalistów. W prasie socjalistycznej, na kongresach robotniczych belgijskich dyskutowano na serjo kwestję „ministerjalizmu“ socjalistów, t. j.

udziału socjalistów w rządzie liberalnym. Dyskontowano naprzód ilość foteli ministerjalnych. Stary, zasłużony przywódca robotników belgijskich L. Bertrand ogłosił w „Peuple“ cały program rządów. Opozycja w szeregach socjalistycznych, oparta o niewzniesione podstawy uchwał Międzynarodówki robotniczej, zapadłych w Amsterdamie 1904 r., ponawianych po kilkakroć—zgoła zresztą teoretycznych—została skruszona. „Zdrowy rozum“ robotniczy wypowiedział się za oportunistem Vandervelde'a i Anseele'a przeciwko sekciarstwu de Brouckere'a i jemu podobnych. Pewność zwycięstwa dodawała otuchy do porzucenia dawnej linii opozycji dla opozycji i przejścia na linię twórczej pracy politycznej.

Kto bywał w Belgji w ostatnich latach, czuł zmianę w usposobieniu masy, widział płomień w oczach spokojnego zazwyczaj robotnika flamandzkiego. Liberali, w szczególności, powaleni od r. 1884, deprymowani w ciągu długich dziesięcioleci porażkami wyborczymi na rzecz klerykałów, niepewni jutra, niepewni własnych szeregów, wytworzonych napływającą falą organizacji robotniczych, wciąż zagrożeni rozłamem we własnym obozie pod kątem umiarkowanego i radykalnego liberalizmu,—teraz, w przededniu zwycięstwa unieśli w górę głowę. Wyprostowali się. Melancholja wstępnych artykułów „Indépendance Belge“ ustąpiła miejsca wiosennym nadziejom. Bławatek, symbolizujący liberalizm belgijski bratać się zaczął z czerwonym gwoździkiem. Młodzież liberalna spółzawodniczyć zaczęła z socjalistyczną w giestach gwałtownych, w głośnych, soczystych okrzykach!

Byłem na wyborach w Belgji, przeżyłem wraz z domniemanym zwycięzcą dnia jutrzejszego długą chwilę upojenia. Nie był to karnawałowy wtorek. Zawszeć byli to belgowie: ciężcy, niedolni do łatwych ekspansji uczuciowych flamandzi, i choć lżejsi i więcej francuzów przypominający, jednak nie bez flamandzkiego nalotu walloni. Długie godziny spędziłem na mityngach publicznych, w obcowaniu z przedstawicielami postępowej myśli politycznej, w świecie mówionego i drukowanego słowa politycznego, na ulicy i w kawiarni, wśród liberalnej burżuazji i w świecie robotniczym. Wszędzie—ta sama atmosfera *pewności jutra* (wrażenie, które odbiera zwiędzający dom burżuazyjny w Belgji czy Holandji), spokojnego zwożenia do stodoł zebranego po pracowitym roku urodzaju. Byli ludzie na tych zgromadzeniach, którzy ostrzegali przed podstępnością działalności klerykałów: denuncjowano i piętnowano ministrów, którzy giestem nieuczciwym i korumpującym wyciągali rękę po głosy niezliczonej trzody urzędniczej, zapowiadając w przededniu wyborów trzydzieści milionów podwyżek na pensjach, ordery i gratyfikacje. Ostrzegano też przed ostremi ładunkami rozdane mi w wigilję wyborów żandarmom i gwardji obywatelskiej. Ale w głosach przewodców, w przemowach liberalów Paul Hymans'a, Paul-Emile Janson'a, w głosach socjalistów Emila Vandervelde'a czy Emila Vinck'a brzmiała nuta tryumfu. Może gryzło i tych starych żołnierzy demokracji i socjalizmu—wątpienie. Może chcieli tą własną pewnością dodać otuchy szeregom, które do ostatniego ataku, na stoki fortecy Reakcji wysyłali. Nie słyhać było nic, jeno pewność z głębin świadomości płynącą, że jutro 2 czerwca 1912 r. „panami będziemy my“. Ażeby uspić obawy drobnomieszczaństwa Vandervelde powtarzał słowa przychodzącego do władzy Beernaert'a, z roku 1884: „Zadziwimy świat umiarkowaniem swoim“. Byłem świadkiem

ostatniego po tej kampanji wyborczej przemówienia Vandervelde'a, w sobotę, 1 czerwca przed północą na przedmieściu Ixelles. W ciągu kilku tygodni przemierzył był ten zdolny, uczony, wymowny, odważny człowiek w automobilu całą Belgję wzdłuż i w poprzek. Mówiono, że po sześć razy na dzień przemawiał po miastach, po osadach fabrycznych, po wsiach. W Domach Ludowych, które są chwałą robotniczego życia belgijskiego, z trybun, ze stołów karczemnych z wysokości automobilu. Żegnał wódz od robotników ubóstwiany onej nocy sobotniej dawne życie reakcyjnej Belgji. Witał nowe, na nowych oparte zasadach. Przywoływał przed zgromadzenie cienie tych, co odeszli—Jana Volders'a \*) Cezara de Paepe (czyt. Pap \*\*), Brismée, dziękował starym przewodnikom Hektoni Denis, De Greef, L. Bertrandowi. Audytorjum było głęboko rozrzuwione.

Nazajutrz wschodziło słońce nad Bruksellą za rozpląkaną chmurą. Myśleli ludzie, że to niebiosa żegnają w ten sposób rządu klerykalne. Od rana tłumno było przed kilku setkami lokali wyborczych, rozrzuconych po całej, rzuconej szeroko na dalekiej płaszczyźnie brabanckiej Brukselli. Głosowanie jest obowiązkowe i karami usankcjonowane. Gdyby konstytucja tego zastrzeżenia nie umieściła, jednak odsetek głosujących nie byłby mniejszy: tak belgowie są zorganizowani, tacy skrupulatni w wykonywaniu wszelkich, a więc i obywatelskich obowiązków. Mimo deszczu gwaro, choć poważnie jest w przedsiódkach. Odbiera się wrażenie, że ta czysta, porządnie ubrana ludność w świadomości czynu, nie bez kapłańskiego namaszczenia niesie swoje kartki wyborcze ku urnom, z których wyjść ma, niby z cudotwórczej retorty, nowa odmłodzona Belgja. O 1-szej w południe lokale wyborcze zamykają swoje czynności i o 3-iej zaczyna się liczenie głosów. Długa to i żmudna czynność, bardzo złożona. Późnym dopiero wieczorem w ogólnych zarysach i prowizorycznie tylko można było wykreślić kontury dzieła dokonanego. Koło północy wodzowie wiedzieli już o przegranej kampanji. Zawiodły rachuby przedwczesne. Liberalizm został pobity na głowę: setki tysięcy sklepikarzy miejskich i wiejskich, burżuazji średniej i najbogatszej wystraszone, zasugiestjowane przez księży i mnichów \*\*\*) widmem czerwonej rewolucji społecznej, wbrew rozkazom stronnictwa po cichu głosowały na kandydatów klerykalnych. Zawiodły wbrew zakłębom i przyrzeczeniom kadry urzędnicze. Zdawało się zwolennikom sojuszu liberalno-socjalistycznego, że lista kartelowa zwycięży wszędzie, że hegiemonję klerykalną złamie, że w Izbie stworzy większość postępową conajmniej *dwudziestu głosów*. I ci wytrawni politycy wiedzieli, że nie złamią potęgi klerykalnej ugruntowanej na wsi flamandzkiej, paratej olbrzymią, sprawną, pożyteczną organizacją społeczną. Chłop flamandzki oddawna przez księży zorganizowany w związkach chłopskich (*Boeren-*

\*) W książeczce mojej „Domy Ludowe w Belgji“ (Warszawa 1907).

\*\*) Belgowie nie wymawiają nazw ani nazwisk swoich, jak Niemcy je czytają, a my za Niemcami powtarzamy. Czyta się Schaerbeck (Skarbek), Maeterlinck (Materlinck), Verhaeren (Verarn).

\*\*\*) W r. 1846 Belgja liczyła 729 klasztorów i 11,968 zakonników, w r. 1890 — 1,715 klasztorów i 90,098 zakonników, w r. 1905 ok. 4,000 klasztorów i 500,000 zakonników (we Francji, siedm razy większej pod względem zaludnienia liczone przed prawem o separacji kościoła i państwa 214,037 zakonników). Majątek klasztorów belgijskich ma wynosić 1½ miljarda franków.

bond) oszańcowany zawodowo, spółdzielczo, oświatowo przed wpływami myśli postępowej i socjalistycznej zostanie przy klerykałach. Ale nowe mandaty, przybywające na skutek powiększenia się ludności, po miastach i dzielnicach przemysłowych powinny były przypaść kartelowi w udziale. Sami klerykali liczyli tylko w chwilach najpobożniejszych nadziei na zachowanie większości 6 głosów. Najwięksi pesymiści wśród ich przeciwników obliczali spadek tej większości do 2 głosów.

W dwanaście godzin po zamknięciu urn wyborczych, nad ranem, 3 czerwca, w ministerjum spraw wewnętrznych obliczono doraźnie rezultaty.

Tryumf klerykałów był zupełny. Nikt nie marzył o takim wyniku. Niczyje marzenie nie sięgało tak wysoko. Od roku 1900 stronnictwo klerykalne nie posiadało takiej większości. W pierwszej chwili obliczono ją na dwadzieścia głosów. Dziś wiadomo, że wynosić będzie głosów szesnaście. Gdy zestawie tę liczbę z ogromem nadziei oczekiwanych do władzy a uciskanych radykałów — zrozumimy, że oznacza ona tysiąckroć więcej niż jej arytmetyczna zawartość. Ranne dzienniki katolickie mówiły: przeciwnik jest „zdeptany“.

Wyjaśnimy potrochu, dlaczego tak się stało. Tymczasem zapiszmy, że od 3 czerwca mały, gęsto zaludniony, czynny, ruchliwy kraj czyni wrażenie dymiącego wulkanu, w którym co chwila otwierają się nowe kratery. Strzelają do tłumów w Liège i w Brukselli, tłumy przeciągają ulicami stolicy, tłuczac szyby, obalając latarnie, wywracając tramwaje. Nadzieje, utkane ze słusznych i imperatywnych pragnień i marzenia zaszczerpione na młodej krwi musiały nawet w belgijskiej krwi obudzić namiętności. Rozczarowanie zamieniło namiętność w szal. Dziś wodzowie pracują zabiegliwie, aby te namiętności opanować i ku łóżyskom zwykłej pracy politycznej skierować. Znowu automobil Vandervelde'a wiezie talenty i słowa po równinie belgijskiej, po Flandrjach i Walonji ze sztabem pomocników, zaufanych przewodników ludowych. Po całej Belgji rozbrzmiewa hasło strejku powszechnego. Strejkuje zagłębie węglowe Borinage'u, fabryki, tramwaje. Podajmy, że hasło strejku powszechnego nie jest popularne w Belgji. Ma za sobą przeszłość, doświadczenie bolesne lat niedawnych. Jakże głębokim musi być żal i ból i wściekłość mas ludowych, że, zapominając o doświadczeniach przeszłości niedawnej (1902 r.), porywają się odruchowo za to wielkie, ostateczne narzędzie walki politycznej.

Mówiono dawniej, że milczenie ludów kryje głęboką naukę dla królów. Jakże dopiero wymownymi być powinny te hasła rewolucyjne, barykady, kule, trupy, ranni dla rządu, który poraz pierwszy 8 lipca stanie przed Izbami belgijskimi! Czyżby się ośmielił wnieść znowu swój projekt szkolny, który miał stworzyć hegiemonję oświatową kleru na długo? Czy raczej nie ustąpi przed groźbą przewrotu i nie nada powszechnego prawa wyborczego, jak żądają liberali i socjaliści?

Przepowiednie są najłatwiejsze i najzawodniejsze. Nie pójdziemy za przykładem polityków belgijskich, którym cyganki partyjne przepowiedziały przecie zwycięstwo, a których tak gorzki spotkał zawód w niedziele 2 czerwca. Dnia tego wzięć miało nad liberalizmem belgijskim słońce Austerlitzu, a weszło ponure w groźnej pochowa-  
ne chmurze słońce Waterloo.

Wyjaśnimy tylko w artykułach następnych przyczyny tej klęski. Wyjaśnimy tajemnice urny wyborczej belgijskiej, dzieje prawa wyborczego, organizację polityczną i społeczną tego małego kraiku, na który w tej chwili zwrócone są oczy świata. Warunki polityczne i społeczne, w których żyje Belgja, poza sensacją aktualności posiadają dla nas w szczególności znaczenie ważne. Możemy się wiele nauczyć, warunki te rozpatrując i bacznie przyglądając się stosunkom społecznym, narodowościowym i politycznym małego kraiku, oczywiście „Domów Ludowych“ i Maeterlincka.

Stanisław Posner.

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

## Z księgi ciszy. O przedświcie.

*Nad moją głową przemknął kruk jak strzala,  
Nad wierzchy lasu rozjaśnione wzbity:  
To noc uchodząc zda się wyrzucała  
Ostatni z łona swego mrok w błękity.*

*Dokoła chaos liści i konarów  
Obwijał cieniem jeszcze pni podnóża;  
Lecz wzwyż gałęzie rwały się nad parów,  
Jakgdyby w szczytach drzew — zastygła burza.*

*I była cisza przedświtowa wiosny,  
Nad moją głową, skrosz mgły ciemnej nawet,  
Przeleciał gołąb srebrny i radosny,  
Jak pierwsza cząstka tego dnia, co wstawał...*

## Wróżka.

*Promienna wiosna, wróżka wielkiej sprawy,  
Chodzi po łąkach, przyszłych żytym chlebem;  
Jak modre oczy w dal mrugają stawy  
Z nieskończonością rozmawiając — niebem;*

*A wieś chat bielą zda się słońce chwyta,  
Wiatr mówi sedom, by szumiały wiosnie;  
Tkanina łąki młodej rozpowita  
Dzwonków błękitem odrzmiwia radosnie.*

*Wszystko to wchodzi oczyma do duszy  
I w harfie duszy ma struny grające;  
Wszystko na nowo harmonją się wzruszy:  
I dźwięk, i promień, i błękit, i słońce.*

## Z mego notatnika.

### Prawdziwe obywatelstwo.

Niedawno dzienniki nasze zanotowały wiadomość, że Krakowska Akademia Sztuk Pięknych zwróciła się do artysty-malarza p. Ferdynanda Ruszczyca z propozycją objęcia przezeń katedry profesorskiej oraz że p. Ruszczyca odpowiedział na tę propozycję odmownie, pragnąc pozostać i nadal w Wilnie i na gruncie rodzinnym rozwijać swą działalność.

Fakt niewątpliwie wyjątkowy.

Do niedawna można było obserwować jedynie objaw odpływu od nas wszystkich niemal sił, bardziej wybitnych. Jednostki utalentowane na polu nauki, sztuki i literatury uciekały z Wilna, dążąc do większych środowisk kulturalnych, gdzie mogły znaleźć obszerniejsze pole dla zastosowania swej wiedzy i warunki łatwiejsze do rozwoju swych zdolności. Skutkiem tego w opuszczonym Wilnie coraz bardziej zamierało tętno życia umysłowego i dawne świetne ognisko kultury polskiej wygasło niemal doszczętnie.

Od kilku lat nastąpił jednak wielce pożądaný zwrot w tym kierunku. Możemy już wymienić kilka nazwisk znanych zaszczytnie, którymi Wilno słusznie się chlubi, bo i gdzieindziej nie utonełyby one w morzu szarzyzny. Należy mieć nadzieję, że ruch odpływowy na wielką skalę już się skończył, i Wilno z wolna znów będzie skupiało siły intelektualne, które rozdmuchają iskierkę twórczą, przysypaną grubą warstwą popiołu.

Na szczególniejsze uznanie zasługują te jednostki, które osiadając w Wilnie, czynią niemalą ofiarę ze swych ambicji, przenosząc cichą i mozolną pracę nad zaszczytami i karierą naukową czy artystyczną, oczekujące je w głównych ośrodkach kultury polskiej czy nawet w stolicach europejskich. Jest to dowód wymowny istotnego przywiązania do stron rodzinnych i głębokiego rozumienia pojęcia obywatelstwa krajowego. Oczywiście, nie każdemu jest dostępne spełnienie tego obowiązku. Warunki materialne mogą stanąć na przeszkodzie najlepszym chęciom, ale w wielu wypadkach, niestety, nieobecność „wychodźców“ nie da się wytłumaczyć niczem innym, jak tylko zupełnym zubożeniem względem rodzinnej ziemi i szukaniem przyjemniejszych dróg.

Zapewne, Wilno dotychczas jeszcze nie przedstawia terenu pociągającego dla indywidualności, nawykłych do oddychania atmosferą kulturalną, ale skąd jej wziąć, gdy ci, którzy ją tworzą, są nieobecni?

Powstaje więc błędne koło, które rozerwać mogą tylko ludzie głęboko uspołecznieni, jak prof. F. Ruszczyca, dr. fil. St. Kościalkowski i inni.

I za to cześć im!

### Lud idzie sam...

W „Kurjerze Litewskim“ p. L. Gołembiewski skarży się, że w procesji Bożego Ciała uczestniczą niemal wyłącznie szare siermiężne masy, że inteligencja i sfery zamożniejsze przyglądają się uroczystości z okien i balkonów i nie chcą się mieszać z tłumem spoconym i kurzem okrytym.

Najprostsze tłumaczenie tego zjawiska — brakiem żarliwości religijnej — p. Gołembiewski

odrzuca, bo jego zdaniem pobożność bynajmniej nie wygasła w sercach burżuazji wileńskiej i dopatruje się tu objawu „fatalnego uprzedzenia klasowego“...

A no, niewątpliwie, „panom paniom i paniętom“ nie uśmiecha się wcale perspektywa zetknięcia się ze spoconym tłumem biedaków, ale jak sam p. Gołembiewski przyznaje gra również w abstynencji tej roli niemalą obawą wystawienia głowy na żar słoneczny i pokaleczenia nóg na ostrych brukach miejskich. Innymi słowy pobożność inteligencji wileńskiej ma swoje granice i nie przekracza progę kościoła, gdzie jest zacisznie, niema zbyt wielkiego tłoku i gdzie zwyczaj nakazuje spędzić godzinkę, co niedziela i święto.

Nie trzeba się łudzić, aby wiara wśród naszej inteligencji była do tego stopnia silną, iżby mogła zmusić ją do uczynienia ofiary chociażby z wygód i komfortu, nie mówiąc już o poświęceniach istotnie poważnych, których przykład daje nieraz wierzący szczerze, naiwnie, bez zastrzeżeń chłop i wyrobnik.

Hipokryzja nakazuje wprawdzie burżuazji otaczać czcią i szacunkiem kościół, spełniać przepisane obrzędy i wyrzekać na niedowiarków, głoszących otwarcie swe poglądy wolnomyślne, ale dość temu wszystkiemu się przyjrzeć, aby dostrzec przeważającą rutynę, przywiązanie do form tradycyjnych lub oportunistycznym społecznym, streszczający się w formułce: „dla przykładu“...

Duch z tych martwych zwyczajowych szablonów ulotnił się już dawno, pozostał tylko suchy szkielet, który się ubiera na pokaz w ozdobne szaty obrzędowe...

Nic też dziwnego, że długa i uciążliwa procesja, jako uroczystość extra, narażająca na zmęczenie i inne dolegliwości nie zgromadziła w swych wielotysięcznych szeregach owej quasi pobożnej inteligencji, która wolała się przypatrywać z góry barwnemu pochodowi ubranej w biel dziatwy, złocistych ornatów i bajecznych kolorowych chorągwi, ze szczerą zresztą sympatją a może i wzruszeniem na widok rozmodlonych tłumów,

A lud szedł sam i będzie chodził samotny, nim rozwój kultury i postępu społecznego nie zasypie przepaści, dzielącej dziś tak wyraźnie społeczeństwo nasze na dwa odłamy o całkiem odrębnej psychice.

Nic wzajemnego zrozumienia odnajdzie się wówczas z łatwością.

Licz.

## Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Na ostatniem zebraniu walnem kooperatywy spożywczej „Swisłocz“ — w Mińsku Litewskim, zrzekłem się mandatu członka zarządu. Ze względu na powód nader nielicznego przybycia stowarzyszonych, właściwe motywy mej rezygnacji nie mogły być dostatecznie ocenione, przeto uprzejmie proszę udzielić mi miejsca w „Przeglądzie Wileńskim“ — dla wyjaśnienia tej sprawy, związanej zresztą z powodzeniem bardzo pożytecznej i godnej poparcia instytucji, jaką jest „Swisłocz“.

Stanowisko kooperatywy tam, gdzie się ma tak wielką i niesummienną konkurencję handlarską, rozumiem, jako płacówkę, która oprócz dostarczania konsumentom dobrych i niedroższych, niż gdzieindziej, towarów, powinna przez swój prawidłowy zarządek rozwój stwierdzić, że nie jesteśmy z góry skazani na tę nieudolność kupiecką, na tę przysłowiową „l'improductivité“. — Tymczasem „Swisłocz“ nie tylko się nie rozwija, ale upada,

Ogólny obrót roczny sprzedanych towarów stale się zmniejsza; z 66 tys. rubli spadł w ostatnim roku do 33 tys. rubli. O rozwoju instytucji, o propagowaniu idei spółdzielczej, w takich warunkach mowy być nie może. „Swisłocz“ była tworzona z pięknymi nadziejami, ludzie, którzy pierwsze podwaliny tego gmachu zakładali, zajęci bieżącymi sprawami, usunęli się nieco, oddając ster w ręce inne.

Zarząd nie umiał pójść drogą właściwą i stąd wahania, słaby rozwój, chylenie się niemal do upadku. Według mego mniemania, wina w znacznej mierze spada na prezesa zarządu, p. Franciszka Łętowskiego, który, zajęty wieloma sprawami, nie może oczywiście prowadzić ich wszystkich dobrze i solidnie, jednak przez wrodzoną ambicję pragnie nadawać kierunek instytucji, którą się po dyktando opiekuje. Gdybyż przynajmniej skład zarządu był taki, że rozumiejąc i oceniając zadania i doniosłość kooperatywy spożywczej, rozwijał by takową, szedł drogą dawno już przez innych wytkniętą — wszystko byłoby w porządku — lecz zarówno panie Hrehorowiczowa, Zofja Czarniewska, jak i p. Józef Dulewicz (zarząd) nie są ludźmi, znającymi zasady, cele i dążenia kooperatywy.

Ignorancja w tej kwestji jest zadziwiająca: hurtownie warszawską stara się ta część Zarządu bojkotować; jedynym „znawcą“ i doradcą naszej kooperatywy jest sklepowa, panna Szyszło, może niezła pracownica, jako sklepowa, ale stanowczo żadna, raczej zła organizatorka i kierowniczka. Wyłączenie pośrednictwa prawie że nie istnieje, kalkulacja cen najdowolniejsza, obstalunek i sortyment towarów według jakichś rozumowań, lecz takich, które nie mogą znaleźć usprawiedliwienia. Podejmowane kilkakrotnie kwestje zaopatrywania ludności biednej, na krańcach miasta, w zdrowe i dobre towary, oraz przyzwyczajanie szerszych mas do stwarzania własnych instytucji, spotyka się zawsze z odmową kategoryczną.

Otóż zarząd, który się składał z takich ludzi, stanowczo się opierał wszelkim reformom i skoro znowu te same osoby weszły do składu zarządu, wiedziałem z góry, że wszelkie moje usiłowania będą płonne i nie będą w możności zapobiec różnym niewłaściwościom, jak pożyczanie przez członka zarządu p. Zofję Czarniewską po kilkaset rubli z kasy „Swisłocz“ na osobiste wydatki, bez niezbędnych nawet w tych wypadkach formalności, spłacanie potem długu towarami, nie zawsze potrzebnymi i t. p. Sprawy te zresztą poruszane były na walnem zgromadzeniu i nie doprowadziły do żadnych kategorycznych uchwał.

To mnie jeszcze bardziej utwierdziło w przeświadczeniu, że wszelka praca moja nie tylko będzie bezpłodna, ale ściągnąć może na mnie odpowiedzialność za te wszystkie niewłaściwości, jakie w towarach, kasie i administracji są stale przez personel popełniane, a przez zarząd tolerowane. Nie mówię o tych niewłaściwościach, jak stałe pożyczanie większych sum przez jedną z członków zarządu, nie opłacanie swych prywatnych rachunków sklepowych; pomijam, że „kierowniczką“ panna sklepowa często sama wypisuje, przyjmuje i oblicza towar, lecz trudno mi być obojętnym na fakt istnienia kliki, jaką personel sklepowy z częścią zarządu stworzył przeciw nowszemu prądowi do tutejszej kooperatywy prowadzonemu. Niema tu mowy o walce poglądów, pojmowaniu sprzecznych zadań i celów — jest prosto przeciwstawienie starej martwoty i śmiałego opartego na doświadczeniu nauki i praktyki kooperacyjnej — czynu.

Wiedziałem się więc zmuszonym usunąć, by ze strony, jako członek zwyczajny, czuwać nad instytucją i nie pozwolić jej zatonać w dzisiejszym morzu apatii ogólnej, tembardziej, iż kierownicy wprost na mielizny ten statek społeczny kierują.

Racz przyjąć Sz. Panie Redaktorze wyrazy poważania i szacunku, z jakim pozostaję

Witold Falkowski.

Mińsk.

## Nowa historia współczesnej literatury polskiej.

(Dokończenie).

W wyobraźni p. Potockiego od 1860 roku literatura przedstawia się w następujących barwach:

- 1) barwa „Przeгляdu Tygodniowego“ i barwa teki Stańczyka;
- 2) barwa „Prawdy“ i barwa rodzących się, ukrytych idei demokratyczno-socjalnych;
- 3) barwa „Głosu“...

Poza ideje „Głosu“ (Głosu Hłaski, Dmowskiego, Popławskiego) literatura polska nie wychodzi.

Właściwie nie mówi metodycznie jasno p. Potocki, że taki podział odpowiada jego ideologii. Dzieli on literaturę na dziećciocielecia, ale w całej jego robocie znać, że chodzi o skupienie w „Głosie“ Popławskiego wszystkich źródeł i ujęć ideowych polskich. Jest to tendencyjność nie wytrzymująca żadnej krytyki. Pod słowem „miłości ojczyzny“ pod kaznodziejskim „Lud—żywiol, lud—placówka, lud—cierpienie, lud—ojczyzna, lud—rasa, lud—ludzkość“ można przemycić wszelki nieład i wszelką niesystematyczność. Że przez czas jakiś „Głos“ Popławskiego skupiał dla współpracy przy sobie Niemojewskiego, Żeromskiego i Krzywickiego, to tylko dlatego, że wtedy jeszcze Popławski, a nawet p. Potocki byli dalecy od teraźniejszego „Głosu Warszawskiego“. Gdy zauważono ciążenie Popławskich w stronę karmazynowej opieki—opuszczono go natychmiast. Zresztą poza „Głosem“ pracował pozytywizm, pracował Mendelsohn, roznosił iskry wiedzy Pruszyński. Wszystkie razem wzięte te prądy dają w całości obraz stanu ideowego, który nie syntetyzuje się zupełnie w „Głosie“.

Dyskusja na temat prawdziwości ideowych syntez zaprowadziłaby zbyt daleko. Już samo założenie, że po 60 roku żyli jeszcze romantycy, a więc ideologie nasze kształtują się wedle wskazań tylko romantycznych trzebaby przeanalizować. Jest to zbyt ryzykowna teza, która romantyzm lat 30, romantyzm lat 48 i wogóle emigracji stawia na jednym poziomie. Romantycy po 63 roku są w niczem nie podobni do filozofji bojowej Mochnackiego z przed 30 roku lub nawet do jego wskazań monarchicznych z czasów emigracji. Zresztą sam romantyzm nie jest poglądem na świat jednolitym. (Mochnacki, Towiański, Worcell, Leleweł).

Pan Potocki miał wykazać różnorodność, udostępnić przez to zrozumienie—woli w tonach podniosłych mówić o miłości ojczyzny, o śnie, legien-dzie, o „ciągłości kultury romantycznej w wieku XIX-ym“.

Krytycy tacy, jak Lorentowicz, podkreślili w pracy Potockiego brak specjalizacji, podkreślili „publicystyczność“. Zdaniem tego rodzaju krytyków tylko w „historjach literatur“ wczesnych (Bentkowski) można spotkać poezję, dramat, romans obok astronomji, prawodawstwa, pedagogiki oraz filozofji. Obecnie zaś wszystkie te gałęzie wyspecjalizowały się i nikt nie żąda, by historyk literatury był równocześnie historykiem nauk ekonomicznych. Jest w tym bezwzględna słuszność. Lecz co do mnie, uważam za stosowne zwrócić uwagę, że nawet „owa publicystyczność“ też nie stoi na poziomie wymagań obiektywności. Warto by u nas napisać rzeczową książkę o prądach ideowych panujących w Polsce po 60 roku; literatury nie można pominąć tu milczeniem, należy ją rozważać, jako jeden z czynników współkształtujących ideologję. Pan Potocki zaś pisząc „swoją literaturę społeczną“ chciał z jej dzieł wydedukować programy polityczno-kulturalne, co musiało skończyć się fiaskiem, gdyż literaturę należy rozpatrywać, jako czynnik współrzędny, autonomiczny w stosunku do innych zjawisk kulturalnych, jak naprz. nauka, polityka. Tego nie uczynił autor „literatury społecznej“, bo zbyt... syntetyczny ma talent, bo lubuje się w powiedzeniach „Przybyszewski duszę odczłowieczył“, „Kasprowicz sumienie odspołecznił“ i t. d.!

Jako próbka zaś kaznodziejskiego tonu pana Potockiego niech posłuży następujący ustęp:

„Po nad tem zaś wpływem chłopskiego bytu — jako szczyt dostępnego duszy uniesienia (!) jako miejsce cudu (!), łaski (!) wniebowzięcia (!) — roztacza się znowuż religja, nie ta, czy inna atmosfera umysłowego stanowiska, lecz chłopska żywa wiara“ (IV t., str. 168).

Co to jest ta żywa wiara — próżno pytać! Pan Potocki każe się domyslać, że to o wiele więcej, niż wiara, ale co, lepiej nie nalegać. Można być posądzonym o brak patryjotyzmu. Z takich przecieź krynic „miłości“ ojczyzny czerpie on swoje syntezę, że tylko kapłaństwo nieznoszące krytyki może pokusić się o dorównanie mu w czelności. I duchowni wszystkich obrządków z tej „wiary żywej“ czerpią swoje argumenty przeciw pracy uczonych i badaczy. Kazanie na temat niefałszowanej polskości, „idealnego szlachcica“, „ludu — ludzkości“ — ma, musi przekonać choćby się wykazało, że autor przekręca wiele, wiele faktów.

Podajmy tylko małańką wiązanekę, nie chcąc powtarzać już wykazanych przez innych krytyków. „Madonna Burowiska“ Łozińskiego jest dla Potockiego dramatem. „Chrzest“ Nalepińskiego — staje się własnością Bełcikowskiego (autora „Psychjana“ i napaści na Feldmana).

Świętochowski rodzi się w roku 1849 i w 1850! Sieroszewski w 1858!

Rosyjski pisarz Mereżkowski jest dla p. Potockiego skomplikowany. (Niebo u góry — niebo w dole: założenie mistyki Mereżkowskiego powtarzające się przez wszystkie prace. Przetłomaczone na język zwykły: Potęga Grzechu — równa się potędze Dobra i daje w rezultacie Dobro).

Niemojewski jest znany Potockiemu, jako autor „Listów Człowieka szalonego“. Poza temi „listami“ w prozie nie znalazł p. Potocki ani „Ludzi Rewolucji“, ani nowel wschodnich.

Zmarłego przedwcześnie Licińskiego zna tylko jako autora „Pamiętników włóczęgi“. „Halucynacje“, „Książd Jaskulski“ nie istnieją dla p. Potockiego.

Makuszyński jest autorem tylko „Rzeczy wesołych“!

Do jakich rezultatów doprowadza takie traktowanie autorów — trzeba dopiero przeczytać. Niemojewski jeden z najlepszych prozaików-stylistów, twórca języka sprowadzony jest do... rubasznych tonów Wincentego Pola. Żeromski staje się dla p. Potockiego pisarzem językowo-barokowym. A przecieź wiemy, że obok Niemojewskiego tworzy on językowo nowe wartości stylistyczne i tonacyjne w mowie naszej. Sienkiewicz swoje „Bez dogmatu“ mógł tylko napisać przy cenzurze rosyjskiej — inaczej nie może sobie tego wyobrazić p. Potocki! Dowiadujemy się tu, że „Poezja wyprzedza życie“ (II t. 204). Szkoda, że nie mamy podanego źródła tego przekonania. Jak wiadomo, bowiem u nas Brzozowski stworzył tezę „antycypacji sztuki w stosunku do życia“. Wogóle trzeba zaznaczyć, że p. Potocki wiele się od niego nauczył, co widać na jego książce, gdy się ją porówna do dawnych prac.

„Legiendy Młodej Polski“ nauczyła Potockiego szacunku dla romantyzmu, co widać na języku jego kazania. Powtarza się stale „praca“ — tak znana z płomiennych improwizacji Brzozowskiego.

Najciekawszy jest jednak stosunek Potockiego do krytyki społecznej. Nie istnieje ona zupełnie. Matuszewski, Lorentowicz, Feldman — to jacyś nieznanymi przybysze, Drogoszewski, Chlebowski, Chrzanowski — nawet nie są warci charaktery-

styk, jakimi szafuje się, gdy mowa o Wierzbńskim lub jakiejś Estei. Sądzę, że już ten sam fakt dostatecznie charakteryzuje Potockiego, jako historyka literatury. A przecieź „człowiek“ miał tu być miarą! A przecieź „dokonane dzieło“ świadczyć miało o sądach Potockiego. Wymienia się „powieści“ Sierżputowskiego Stefana, a o Brzozowskim pisze się, jak o szarlatanach.

Wyrzuca się wszystkim, że piszą niechlujnie, a o sobie nie pamięta się. Stale powtarza się przez to takie formy: przekonują, wykonuje, nie byt (nie-byt), jest nieczem innym (II t. 161) i t. d.

Poza tem wszystkim jest jeszcze jeden specjalnie „sympatyczny“ ton w książce Potockiego: to jego stosunek do religji. Mówi on o niej, jak o ekstazie, podsuwa sprytnie narodowo-demokratyczną formułę: „Polak-Katolik“, to dopiero potęga. Dla uważnego czytelnika ten haracz spłacany kościołowi wyda się bardzo nie na miejscu.

Albo się bowiem szuka i bada i przez to narodowi światłości i wiedzy przysparza — albo też mówi się wyraźnie: oddaje cię narodzie pod opiekę sutanny i wtedy basta. Wtedy wiemy, co sądzić o takim „myślicielu“.

Ale jeżeli „mędrzec“ machiavelicznie trzymać się chce rąbka sutanny i równocześnie kokietuje wiedzę, to wiadomo, że z takiego małżeństwa rodzą się... bękarty...

Literatura polska czeka jeszcze na swego syntetyka i analityka. Dzieła tego dokona jednostka wielkiej pracy i wielkiego charakteru. Zakusy bowiem wszystkich Potockich pójdą na marne. Kto nawołuje do prawości i szczerości, a później pomija milczeniem, przekręca, lub karykaturuje fakty, ten nie może rościć sobie pretensji do miana historyka literatury polskiej.

Oburzający też jest stosunek Potockiego do Feldmana. Niemal co stronica przedrzeźnia go i szykanuje. Dobry smak (jeżeli już nie obiektywność naukowa), kazałby w takim wypadku zachowywać się z takttem. Przecieź Potocki pisał swoją literaturę w celu zdyskredytowania literatury Feldmana. Konkurencyjność książki powinna być nauką powściągliwości. Ale gdzie tam...! Nuż wymyślać! Zalatwiać rachunki osobiste!

I w ten sposób dyskredytując Feldmana — zdyskredytował siebie. Społeczeństwo polskie odnajdzie wartość jego literatury i odda sprawiedliwość wszystkiemu, co jest w niej... zbyt syntetyczne...

Bo aczkolwiek nie miał on zamiaru stworzyć syntezę naszego piśmiennictwa — dał tylko syntezę. Wogóle dał wszystko to, czego nie miał w swoim programie, który nakreślił we wstępie swojej książki.

Może się zjawi autor, który dotrzyma obietnic wszystkich, a równocześnie da nam pracę, opartą na świadomej metodzie?! Może się zjawi krytyk specjalista i da historię powieści, krytyki, dramatu, poezji polskiej?! Może się zjawi syntetyk filozof ducha naszego narodowego i pokaże nam nasze nawarstwienia psychologiczne i moralne?

Pamięć przecieź i wdzięczność dla Mochnackiego, Tyszyńskiego, Grabowskiego, Chmielowskiego — jest w nas zawsze obecna. Ceniemy i cenić będziemy ludzi pracy. W Potockim uznajemy jego „utalentowany dyletantyzm“ — ale przed literaturą jego ostrzec musimy.

Wobec literatury Feldmana jest ona zbyt techniczna. Przy „Legiendzie Młodej Polski“ — ginie, gdyż nie dorównywa świadomością celów.

Mógł zresztą przecieź w jednym feljetonie po-

wiedzieć p. Potocki, że literatura polska trzyma się haseł narodowo-demokratycznych i wtedy znalazłby posłuch wśród swoich sfer.

W obszernej pracy niesumienność zabiła dobre chęci p. Potockiego! Bo i trudno było w Żeromskich, Sieroszewskich, Daniłowskich, Wyśpiańskich, wmówić, że budowali „łaskę kanclerską dla Dmowskiego“...

Zawiodły „dobre chęci“ p. Potockiego! Niech starczą one za uczynek. Nareszcie i kler katolicki i solidne mieszczaństwo i szlachta pałacowa — mają książkę, która im wyjaśni tragizm życia Wyśpiańskiego, Żeromskiego, Kasprowicza... Głośne, łatwe słowa — przykryły wysiłek i mozół ich życia...

Kiedy się zjawi pisarz, który powie o nich prawdę serdeczną?

Eustachy Cekalski.

## PRASA POLSKA.

— W „Kurjerze Warszawskim“ p. Cz. J., roztrząsając wynurzenia p. H. Korwin-Milewskiego, dotyczące horoskopów wyborczych, czyni następujące zastrzeżenia:

„Na ile mandatów liczyć mogą polacy na Litwie i Rusi? Pan Milewski odpowiada: „W gub. wileńskiej na jakich 5; w grodzieńskiej i w kowieńskiej można liczyć na jednego posła-polaka; w pozostałych sześciu guberniach nie przejdzie ani jeden polak — chyba z łaski samych władz administracyjnych“. I dodaje: coś niecoś możnaby zrobić, poświęcając własne klasowe i kapitalistyczne interesy i prowadząc akcję wyborczą w łączności z kurją włościańską i z wyborcami miejski (t. j. z żydami). Ale taka łączność jest niemożliwa. Zbyt jesteśmy skostniałymi konserwatystami typu zachodniego“. Prawda. Ale zechce sobie p. Milewski przypomnieć, że podczas wyborów do pierwszej Dumy koło wyborców-ziemian gub. wileńskiej, złożone prawie bez wyjątku z samych polaków i faktycznie rozporządzające wyborami, ustąpiło dobrowolnie, w imię społecznej sprawiedliwości, dwa mandaty — włościanom. Konserwatywna przeto skostniałość ziemiaństwa polskiego na Litwie i Rusi nie jest znowu tak beznaściejnie — granitowa.

Nie myślimy jednak bynajmniej atakować rachuby p. Milewskiego. Nawet przy najpomysłniejszym składzie okoliczności nie odbiegnie czwarta Duma daleko od trzeciej pod względem liczebności polaków. Atoli — na co kładliśmy już nacisk, sygnalizując swego czasu zainicjowanie stronnictwa niezależnych postępców — polacy na Litwie i Rusi mogą do znacznego stopnia wpłynąć na zabarwienie czwartej Dumy, popierając kandydatury rosjan postępczych, nawet odstępując od „votum separatum“, na rzecz własnego kandydata. Piękna rzecz stać zwartą grupą przy własnym kandydacie; ale polityka realna i praktyczna wskazują przecie jasno, że przeprowadzony do Dumy rosjanin postępczy i liberalny więcej waży dla kraju i ogólnej sytuacji politycznej, niż popierany *usque ad finem*, a nie przeprowadzony kandydat-polak. Zdaje nam się przeto, że p. Milewski rolę cenzusowego ziemiaństwa polskiego na Litwie i Rusi pojął za ciasno, jako jedynie dźwignię dla kandydatur wyłącznie polskich; gdy rzeczony ziemiaństwo może przyczynić się do partyjnego ukształtowania się całych naogół wyborów poselskich do czwartej Dumy na Litwie i Rusi“.

W końcu p. Cz. J. wyraża nadzieję, że prasa miejscowa wyświetli poruszoną kwestję w drodze przedwyborczej dyskusji publicznej. Pod tym względem jednak ulega złudzeniu oczywistemu. Politycy nasi zbyt są przyzwyczajeni do roboty zakulisowej, by chcieli ujawniać swe machinacje i poddawać je kontroli publicznej. A zresztą „Kurjer Litewski“ unika z zasady wszelkich drażliwych tematów...

## Śmiać się, czy płakać?

Feljetonista „Dziennika Kijowskiego“ przytacza list, otrzymany przez jednego z czytelników, jako godny zanotowania okaz flory językowo-ortograficznej „Południowo-Zachodniego“ kraju.

Dokument ów opiewa, co następuje:

„Lubiezny drugu! Okropnie był ja rady, gdy dostał twoje pismo po tylu latach. Wszak ja już był słuch o tobie zatracił, a ty—patrzaj—w Warszawie.

„Ja żyję teraz w Naszpolu i tyby jego dzisiaj nie poznał, tak on się przemienił i na Kijów patrzy, chociaż dzie jemu do tego! Domy to u nas już stoją w cztery piontra, a w kużdym wodę aż tamtendy tromby na sam wierzch kaczają, ale kwatry, nie daj Bóg, jak drogie, a że to podradczyki u nas het wszystkie jak są, gałgany, więc i kuźdy taki dom syry szelma, a płacić trzeba — nie nie zrobisz!... I wogule drożyzna u nas czort wie, jaka, a ty musisz ciongle w ręce patrzyć, żeby z ciebie za kużdym razem durnia nie zrobili.

„Ojciec muj już w otstawce, a brat Jan w trzecim stole wojskiego prysutstwa służy, kłaniają się zaś tobie obydwu. Żona znowu moja od dwóch już miesionców jest szezensliwą matką — ma curkę — możesz mi zatem powinnować.

„Dobra ona u mnie, spokojna i rozumna, bo gimnazje kazienną skończyła, tylko tołstucha straszna i na język łatwa, jak kuźda zresztą baba w pełnym soku, kturzej menża nie braknie.

„Ja do tyj pory zawsze pracuje na żelaznej drodze, teraz w depie tutejszym i troche choruje, bo i spinę mam przeziębioną i pieczeń swywoli i cały czuje siebie nie w porzondku.

„Ot i wszystko. Żegnaj mi, bo już pociong przywalili z Odessy, to i na mnie czas. Radby ją jeszcze, ale służba nie swój brat. Więc całóje ciebie, a twojej żonce kłaniam się“...

*Si non e vero, e ben trovato.* W kraju „Północno-Zachodnim“ takich kwiatków również nie brak...

## Książki nadesłane do Redakcji.

Wacław Grubiński. Pocałunek, uczta Baltazara i inne nowele. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków. 1912.

Wacław Grubiński. Moc kamienna. Nowele. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków. 1911.

Świat i Człowiek. Wydanie nowe. Zeszyt II z 73 ilustracjami. Z zapomogi kasy Mianowskiego. Wydawnictwo A. Heflicha i S. Michalskiego. Warszawa 1912. Cena 1 rb. 60 kop.

Świat i Człowiek. Wydanie nowe. Zeszyt III z 65 ilustracjami. Warszawa 1912. Cena 1 rb. 80 k.

## Treść numeru.

Nacjonalizm — B. H.

Fikcyjne równouprawnienie — Mira.

Listy z Warszawy — P. M.

Po wyborach belgijskich — St. Posnera.

Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbickiego.

Z mego notatnika — Licza.

List do redakcji.

Nowa historia społecznej literatury polskiej — E. Cekalskiego.

Prasa polska.

# Prawda

Tygodnik polityczny, społeczny i liter.

Wychodzi 32 rok w Warszawie grupując pod sztandarem postępu i demokracji najwybitniejsze talenty publicystyczne.

Abonenci „Prawdy“ otrzymują co kwartał bezpłatny dodatek w formie dzieła naukowego. W roku bieżącym dodatek stanowi najnowsze dzieło prof. Ignacego Radlińskiego:

## Jezus, Paweł i Spinoza

Prenumerata roczna: w Warszawie 8 rb., w Cesarstwie, na prowincji i za granicą — 10 rb.

Redakcja i Administracja: Warszawa Włodzimierska 5.

# Ogłoszenia roczne

DO INFORMATORA HANDLOWEGO

Administracja

„Przeglądu Wileńskiego“

przyjmuje na dogodnych warunkach.

**Informator Handlowy.**

**BIURO PRZEPISYWAŃ**  
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.

POŚPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

**T. KRZYŻANOWSKI**

Wilno, Bonifraterska (Preobraż.) № 8.

Obuwie gotowe i na obstalunek.

**St. Stefanowski**

**i J. Marciniak**

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

**KSIĘGARNIA**

**KULTURA** Wilno,  
Dominikańska 14-

PRENUMERATA PISM.

Wszelkie nowości.

**TRYPPER** HONORRHEE, RZEŻĄCZKĘ i UPLAWY  
w OSTRYM i CHRONICZNYM OKRESIE

szybko i radykalnie usuwa całkiem nieszkodliwy środek (dla użytku wewnętrznego)

**„TIELERIN“**

Doktora medycyny uniwersytetu gienewskiego E. Gorochofskiej

Cena zwykłej flaszki (na 10 dni)—1 rb. 75 k. i podwójnej—3 rb. bez przesyłki.

Szczegółowy przepis przy flaszce. Ekspedycja za zaliczeniem pocztowym.

Adres: Д-ру мед. Э. М. Гороховской, Москва, Сретенка, Даевъ пер. б. 1-28, кв. 3.



**J. MACIEJEWSKI**

Mińsk lit. Zacharzewska 70 (vis a vis hotelu Odesy).

**ZAKŁAD RYMARSKO-SIODLARSKI**

Siódła, wszelkie zaprzęgi, chomonta robocze, kufry,  
i wszelkie artykuły podróżne i galanteryjne.

**ŚWIEŻO OPUŚCIŁY PRASĘ**

Nakładem Tow. Akc. S. Orgerbranda S-ów

**Włochy Nowoczesne**

Dzieje ostatnich lat stu pięćdziesięciu

napisał **Pietro Orsi**, prof. historii w Padwie. Z upoważnienia autora  
przełożył i uzupełnił **Stanisław Posner**.

KRAWIEC DAMSKI

**E. Duboniewicz**

Wilno, Ś-to Michalski zaułek d. № 4. (Z Wielkiej ul. 2-gi podjazd na lewo).

Wybór materiałów krajowych i zagranicznych.

CENY UMIARKOWANE.

**Przynęta „Rybolin”** Niezbędny środek dla skutecznego połowu ryb.

Korzystając z „Rybolinu“ nie trzeba wysiadywać godzinami dopóki ryba przypadkowo natknie się na przynętę. „Rybolin“ jako domieszka do przynęty wyduje na daleką przestrzeń woń ulubioną przez ryby. Ryba zbliża się mimowoli i chwytą za przynętę. Duży flakon „Rybolinu“ z przesyłką i opakowaniem 1 rub. 50 k. Do Rosji Azjatyckiej dodatkowy koszt przesyłki podług taksy.

Przynęta „Rybolin“ znajduje się w sprzedaży już od dziesięciu lat i używana jest przez wszystkich moskiewskich miłośników rybołówstwa.

Skład główny „Rybolinu“ dla całej Rosji u wynalazcy **J. Głazunowa**.

Moskwa, Stolesznikow № 8.

Gwarancja absolutnej nieszkodliwości „Rybolinu“ jako przynęty. Katalog przyrządów do rybołówstwa z wzor. wysyła skład główny po otrzymaniu marki 7 kop.